

# PION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 33 (202)

WARSZAWA

19 SIERPNI

1937 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

KAZIMIERZ CZACHOWSKI — NARODZINY TALENTU  
ROSA BAILLY — WZLOTY  
TYMON TERLECKI — WIZYTA W ŻELĄZOWEJ WOLI  
KSIAŻKI — SPRAWY NIEMIECKIE — PRZEGLĄD PRASY

J. K. KOCHANOWSKI

## O WOLNOŚCI I SILE DUSZY

Pisałem niedgdyś, że dusza to formuła stosunku stworzenia do Boga. Mam i dzisiaj wrażenie analogiczne, że psyche nasza, to jakby maska w stosunku do otaczających nas objawów „ducha”, czy „materii”. „Maska” wyczuwa to i tamto, ale czuje przytem i siebie.

Czy ta przesłanka jest „obiektywna”, to znaczy wiarogodna dla każdego z nas — nie wiem i raczej o tym wątpię. „Subiektywnie” atoli, z całą pewnością płynie tu dla mnie wniosek, że zapoznanie „pierwiastku nadprzyrodzonego” („ducha”) w życiu — to absurd, ale: przeczucie na jego barki a *limine* wszelakich spraw człowieczych — to barbarzyństwo...

\*

Nie wegetacja istot żyjących, lecz wysokie, bodaj najwyższe możliwe napięcie ich sił, może odsłaniać przed nami tajniki głębsze mechanizmu ich życia.

Podobnie — nie społeczność, zgrana wielorako w zespole swych cząstek składowych, lecz starcia, jakie między cząstkami tymi — ludźmi — zachodzą na arenie życia, zdolne są wprowadzić nas w głąb wyczuwanych przez nas tajników ich bytu.

Nie dziwnego przeto, że psychika ludzka, kryjąca zaklety w niej świat zarówno biernych jak czynnych sił poznawania, może odsłaniać ich przed nami stokroć więcej w stanie silnego swego napięcia: fermentu, podniecenia, burzy — aniżeli w powojakach konwenansu, na tle dnia powszedniego.

Oskar Wilde w arecygłębokim rozważaniu „grzechu” i „cnoty”, „winy” i „kary”, „zbrodni” i „odkupienia”, zawartym w słynnym jego utworze *De profundis*, dał nam, jako w studium głębinowym, zaczerpniętym z życia, tysiącokrotnie więcej niezrównanych podpatrzeń psychologicznych, niż mogło by zdobyć się na to t. zw. pospolicie „dociekanie”.

Też wytyczną Wilde’a zdaje się być epostrzeżenie, że w psychice człowieczej istnieje tak wysoka kraina duchowości, iż na jej wyżynach niebiosiżnych wszystko: wszelakie zjawiska życia w nas odbite — zarówno miziczne jak górne — zdolne są osiągnąć swą nirwanę, wskutek czego i najstraszliwsze nawet wstrząsy moralne (a może i wszelkie inne) mogą znaleźć tam swe ukojenie.

Jak atoli odbywa się w psychice ludzkiej doniosły ów proces na szczeblach swych stadiów poszczególnych: w kolejach swych, przemianach, przegubach i zwrotach —

<sup>1</sup> Fragmenty rozdziału II nowej książki J. K. Kochanowskiego pt. *Humanizm a człowiek*, która w najbliższym czasie wyjdzie w druku nakładem F. Hoesicka.

trudno się o tym wszystkim w poetyckich obrazach Wilde’a czegoś wyraźniejszego doczytać.

A szkoda wielka, bo jeżeli całość akordów jego psychologicznych może człowieka zająć, to właśnie li-tylko przemilczane przezeń wśród fiortur artystycznych stadia pośrednie procesu, o jakim mowa — byłyby w stanie pouczyć go o rzeczach i sprawach, życiowo i cywilizacyjnie z punktu widzenia psychologicznego bodaj najważniejszych.

\*

U wstępu do poruszonego tu zagadnienia trzeba rzucić pytanie, czy człowiek jest szczęśliwy przez to, że nim — jakby się zdało — w danych okolicznościach „być powinien”?

Jak najoczywiście — nie, bo nie rozumowanie, ani konsekwencje jego logiczne, lecz to, co zwykliśmy nazywać psychicznym, albo nerwowym stanem człowieka, rządzi jego „usposobieniem” — ono zaś „szczęściem” jego, lub „nieszczęciem”.

Być może wprawdzie, że silna wiara, wznosząca człowieka ponad poziomy przeciętne życia, zdolna jest narzucić „nerwom”, jako ludzkiej więzi materialnej, właściwy sobie stan psychiczny — wszelako nie ona to bezpośrednio, lecz owa „więź” stanowi o danym „usposobieniu” naszym.

Jakże wątle są wobec tego podstawy subiektywizmu człowieka, a wszakże one to, nie zaś jakoweś dane obiektywne, stanowią o losach naszych moralnie!

Spokój i ukojenie, czy najboleśniejszy wstrząs cierpienia zawisły tedy w nas od dopustu czynników, nieraz — w poczuciu naszym — zgola od nas niezależnych, które smagają jaźń naszą okrutnie, albo folgują jej zbawczo, niezem jeździec ujeżdżający konia!

Tu właśnie — po ziemsku rzeczy oceniając — miejsce na zespół nasz wewnętrzny z wyczuwanym przez nas źródłem niewyczerpanym sił świata, tj. na modlitwę i zdobywanie wśród niej wyzwalającego nas wewnętrznie z bolesnych wiewów słabości — natchnienia mocy.

\*

W człowieku — jak wiadomo — rządzi wszystkim „usposobienie” jego w danej chwili: tak dalece, że można by powiedzieć pod przenośnią, iż „doskonałego” Mutiusa Scaevoli ogień by nie parzył.

A jednak i nastroje — najwładniejsze nawet — ulga zewnętrzna nie gardzą: pragną, aby trud ich napięcia, płynącego z wysiłku mocy wewnętrznych człowieka, zastępowały — możliwe jak najzupełniej — „konjunktury” zewnętrzne.

Dlatego to blysk — chwilowy a zawodny — „konjunktury pomyślniej” działa w

depresji nie tyle pocieszająco, co demoralizująco, bo ludzi człowieka ulgą, gmatwając jednocześnie jego nastrój, pożądany przezeń istotnie w danej chwili.

A oto co nadto zaznaczyć tu trzeba w związku z przepiętną rolą „nastroju”.

Jak ktoś, łaknac ananasa, zdolny bywa pono — pod wpływem sugestii — odczuć go i w ziemniaku, tak też u dna wszelakiej depresji człowieczej zdają się pobrzmiwać mimo wszystko fletnie Syren olimpijskich, wieńczących męczennika wizją jego chwały, zdeptanej wprawdzie w kipieli złych losów, lecz marzonej (jak widać) tym usilniej w głębi tęsknot jego podświadomych.

Antynomie skłóconych z sobą wzajemnie w ludzkim starciu wewnętrznych elementów psychicznych — to właśnie cierpienie, dające — choćby i na przekór tzw. rzeczywistości — do stania się, bodajby drogą metamorfozy czarodziejskiej własnych, ponurych pierwiastków swoich — szczęściem życia!

Czyliż „cierpienie” różni się w tym zasadniczo od czegokolwiek bądź?!

\*

Ale oto — po wielorakim szamotaniu się się człowieka z samym sobą — nachodzi na niego fala prostracji, a za nią — nuda, nie będąca jednak dowodem, że coś jest „nudne” rzeczywiście, lecz raczej, że w psychicznej kolei rzeczy po napięciu idzie wyczerpanie: ugorowanie nieuniknione a zbawcze danej dziedziny wrażliwości ludzkiej w danym złożeniu spraw człowieczych.

Potem refleksje — refleksje i refleksje... Refleksje w takim chociażby rodzaju:

W „winie” — nie zadanej komuś krzywdy żywej, bo ta byłaby jawną obrazą Boga, lecz w „winie” tzw. (teoretycznie) „beprawia”, przewiną istotną nie jest bodaj ono samo, lecz ujemny moralnie stosunek do niego ze strony „winnego”.

Jeżeli też ten kaja się w danym przypadku szczerze — jest winien; jeżeli jednak nie mniej szczerze a meżnie trwa przy swoim — może okazać się „przestępcą”-bohaterem, walczącym z przemocą czy obłudą.

Racja bytu „prawa” polega bowiem nieraz, a niestety dość często jeszcze, na tym, iżby w interesie niecnoty, jako (niezbędne) jakoby tu i owdzie motoru bytu zbiorowego — gasić światło życia pod pozorem jego ochrony.

Tymczasem zaś jest — jak słusznie twierdzi Roesbroek — wola Chrystusa, iżbyśmy wśród spraw życiowych nawiedzali głębiej pojęcia naszego o Bogu.

A głębia ta właśnie — nie coś innego, jak się to wydaje nieraz „mędrcom z szkiełkiem w oku” — głębia procesów psychicz-

nych człowieka — jest po prostu dająca się ująć nader wielorako „rzeczywistością bytu”.

Jako przykład, pierwszy z brzegu, niechaj tu posłuży rzut oka na zjawisko, zwane przeczcuciem.

Bywa ono w ramach stanu pod- (nad?) czy po prostu świadomego człowieka — temieniem, nie budzącym bodaj wątpliwości. Ktoś, opanowany pragnieniem natężonym, aby coś z zewnątrz niego się stało, uczuwa w pewnej chwili, że owo coś stanie się — jakoż się staje... A odczucie to udziela się w momencie krytycznym nie tylko świadomości, lecz i całemu „samopoczuciu”, a zwłaszcza nerwom i mięśniom opanowanego przeczcuciem człowieka. W masie jego ciała jest ono jakby fizycznym akompaniamentem myśli, przelewającym się ciężko, jak olów, w takt jej drgnień mglisto-świadomych.

Razem wzięwszy, odnosi się wrażenie, że — bez względu na to, co z czego powstało genetycznie: „fale” świadomości pomienionej z ciężkiego „fluidu”, czy odwrotnie — są to już dziedziny, w człowieku dzisiejszym: odrębne.

„Dusza” i „ciało”?

Zaczynny, czy stan odwieczny ich „symbiozy”?

Zdaniem Platona, „ze wszystkiego, co człowiek posiada bliskiego bogom — dusza jego jest im najbliższa, (nie przestając być jednocześnie) najistotniejszą jego własnością”.

Toteż człowiek — mimo całą swą niedoskonalość moralną, wyrażającą się w jego lawirowaniu nieudolnym między biegunami pychy i pokory, posiada jednak na ogół pewien instynkt, pozwalający mu na ocenę przybliżoną wartości, jakie dane mu jest wnieść do życia swego otoczenia.

Dzięki darowi temu, człowiek, a nade wszystko człowiek-twórca, który by nawet wartość swą mierzył jedynie miarą, narzucaną mu przez środowisko własne — dojdzie łatwo do stwierdzenia swej wyższości, zwłaszcza gdy dostrzeże, że to, na co się zdobył, ma widoki stania się dorobkiem nie tylko danego pokolenia, lecz i dalszych.

Z chwilą tą jarzmiące go dotąd sugestie wyższości otoczenia jego nad nim zalamują się automatycznie. Ze zaś zasady stosunku potomości do jego osoby — bodajby jako nieznanne mu zgola — również krepować go nie mogą, przeto ów wiekuiasty (jako typ) człowiek-prymityw, wylaniający się ze stada: — on i jego w rozumieniu rozwojowym epigonowie — poczynają „spiewać” — coraz to swobodniej — „samym sobie”...

Akompaniują im w tym, a raczej może dyktuje im pieśń swą — ich sumienie: głos głębin wewnętrznych człowieka — werdykt trybunału, w którym „duch” osądza ich zgodność lub niezgodność ze sobą.



Odnosi się przy tym wrażenie, że rola tzw. intelektu sprowadza się w procesie tym do czynności mechanicznej pośrednika, przekazującego przebieg owego procesu — świadomości, jako syntezie duchowo-materialnej człowieka.

Co zaś trzeba tu zaznaczyć, to okoliczność uderzającą, że potęde tzw. wyrzutów sumienia, które określamy tu, jako „głos ducha”, nie odpowiada w najskromniejszej bodaj mierze sile intelektu, którą, zgodnie z naszymi założeniami, — poczytujemy za „głos materii”.

Posiłkując się porównaniem, moglibyśmy powiedzieć, że gdy głos pierwszy to jakby surma, burząca mury — to drugi przypomina w zestawieniu z nim igielkę gramofonu, znaczącą na powierzchni samopoczucia człowieka nikłym, acz na zawołanie wymownym swym śladem, ton huraganu, przepelniającego jego wnętrze.

Toteż człowiek normalny, mijający się z sumieniem, nie zaśnie spokojnie, podczas gdy popełniającemu błędy inne, wspomnienie ich snu nie zamęci.

W pierwszym bowiem przypadku człowiek ów ekrzywdził — wbrew „duchowi” kogoś, albo pogwałcił inne jakieś ideały własne, szukając i znajdując tu i tam pozio mo samego siebie; w drugim mógł być może kogoś i zgładzić — wszelako w obronie „głosu ducha”, którego porywowy z mieczem w rękę (np. w walce o ojczyznę) nie potrafiłby zaprzeczyć ani on, ani inni.

Bywają jednak ciężkie sytuacje, których człowiek — bez względu na swe do nich istotne ustosunkowanie się, nieraz uniknąć nie zdoła.

Nazywa się to (kwestionowanym doświadczeniem) „przeznaczeniem”, a posiada (praktycznie) na równi z „wolną wolą” (choć to i tanto to sprawy (bodaj „życiowo”) zgoła różne) — swój zasięg oddziaływań, któremu kres kłaść zwykło realnie — zwłaszcza w dziedzinie woli — *non possumus* człowieka niedoskonałego.

\*

Skoro jednak przypuścilibyśmy możliwość jego doskonałości, a przeto przesłanki istnienia żywego „absolutu” (w danym przypadku — moralnego) w ramach naszego bytu — z chwilą tą ustalały automatycznie racja, a za nią sens i celowość samego nawet rozważania poruszanych tu zagadnień.

Z podobnych bodaj względów nie należało by również mieszać z wywodami myśli ludzkiej — wyrazem intelektu — superlatywu uczuć ludzkich, Boga, za którego sprawą bezpośrednią, zdaniem jednego, a bez którego udziału, zdaniem innych — myśl ta została usamodzielniona, choćby na podobieństwo bujającego w przestrzeni końca nitki, tkwiącej zawiązkiem swym w kłębkach niewiadomości.

*Le mieux est l'ennemi du bien!* Toteż i takie bodaj poczucie wystarczy najpotężniejszej nawet roli człowieka w życiu, jego godności, a niemniej i najbardziej nawet buńczuczny, lecz zrównoważony, aspiracjom badawczym jego umysłowości.

\*

Marzona przez poetów i bohaterów ludzkości wolność człowieka, za którą tenże cały już bezmiar najserdeczniejszej krwi swojej przelał w koleci wieków po świecie — nie jest koncepcją jego materialistyczną. Gdyby bowiem tak było istotnie, to ani człowiek, nękany głodem ciała a dochodzący pod razami dręczących go przeciwności do stanu apatii — ani ci, co toną w przesycie i jego prostracji, nie byłiby w stanie ani służyć tzw. ideałom „orderwanym”, ani — zwłaszcza — odradzać się pod ich oddziaływaniem.

W koncepcji „wolności” nie idzie tedy człowiekowi — a bodaj i wszelkiemu na ogół stworzeniu, wydzierającemu się z jarzma udrczeń — o dosyt w rozumieniu potocznym przyjemny, lecz o swobodę w wewnętrznym wyżywaniu się tj. o tzw. „wolność ducha”.

A jest to nakaz nie mniej żywiołowy niż chęć nasytowania głodu albo popęd płciowy — z tą wszelako różnicą, że jeśli ostatnie te nakazy występują najpotężniejszej na ogół i najbardziej na szczeblach najniższych stworzenia, to walka — zwłaszcza systematyczna — o wolność ducha, na najwyższych.

Nadto, owa tak wyraźna w swej naderżności, a przeto i młodzieńczości życiowo rozwojowej, dziedzina ziemskiego żywiołu ducha, wykazuje (z natury rzeczy) podobnie jak wszelki szczebel ewolucyjnie wyższy, złożoność w funkcjach swych bardziej skomplikowaną, a stąd i bardziej w wyrazie swym życiowym indywidualistyczną, osobistą, niż objawy pra-elementarne podstawowych w bycie ludzkim żywiołów innych.

Stąd też nikt bodaj z myślicieli nie wyraził się o żadnym z żywiołów, jakim ulega człowiek — tak charakterystycznie, jak o duchu, chodzącym niby samopas pomiędzy ludźmi i biorącym w swe posiadanie jednych, a pomijającym innych: *Duch gdzie chce, tchnie...*

Nie też dziwnego, że masa, jako taka, będąca wyrazem i rezerwuarem zasadniczej przeciwieństwa ludzkiej, i tolerująca przeto bez zastrzeżeń folgowanie przez człowieka żywiołom niższym — kępuje od prawku wszelakimi, dostępnymi jej więzami tych, co nie gromadzą już, lecz indywidualnie, dążą w życiu (zawsze bądź co bądź zbiorowym!) za nakazami przepelniającego ich ducha.

Tak to z jednej strony powstają tamy, utrudniające rozwój człowieczeństwa w ludzkości; tak z drugiej rodzi się nakaz: *A jeżeli ręka twoja, albo noga twoja gorszy cię, odrzuć ją i odrzuć od siebie.*

Płynie stąd wniosek, że jednostka ludzka, moralnie świadoma samej siebie, a stąd przeciwstawiająca się zasadniczo otoczeniu swemu, nie powinna nikomu w ogóle poddawać się na ślepo. Tam zaś, gdzie istota człowieka nie godzi się z przypadłym jej z urodzenia środowiskiem, co rzekomo winno ją z tym ostatnim wiązać na zawsze a bezwzględnie — człowiek ów — o ile do głębszej samotności zupełnej nie jest zdolny — winien, porzućwszy związki krwi, ciężcy jedynie ku ludziom, bliskim sobie duchem, póki — zgodnie z założeniami najwyższymi psychiki swojej, nie odnajdzie własnego, osobistego swego synostwa Bożego — w sobie.

Wprawdzie — jakby w myśl Ewangelii: *Kto miłuje duszę swą, utraci ją, a kto nienawidzi duszy swojej na tym świecie, ten jej strzeże ku wiecznemu żywotowi* — powiadają i gdzieindziej: „Co oddasz, pozostanie przy tobie; co zachowasz — stracisz na zawsze” — wszelako dotyczy to najpewniej — jedno i drugie — nie „ducha”, o którego tu chodzi, lecz o „duszę” w rozumieniu egotycznie bardziej poziomym.

\*

I zwierzęta posiadają w swym życiu chwile podniosłego piękna — np. gołębie wśród ekstazy płciowo-uczuciowej. Wszelako nie podobna zauważyć, iżby przyczyniały się one świadomie i celowo do przedłużania lub utrwalania chwil tych czy to w życiu płciowym, czy poza nim, jak człowiek.

Istnieje w nas bowiem zdolność nie tylko planowego omijania czynników sprawiających nam przykrość, lecz i takiego poddawania się bodźcom, powodującym przyjemne doznania, czego bodaj (zwłaszcza w tym stopniu!) zwierzęta nie posiadają — podobnie, jak sugestyjnie wprowadzania się w nastrój przez siebie pożądaną.

I dlatego to człowiek poddający się biernie — obyczajem ludzi, zwłaszcza (*vide:* zwierzęta!) niekulturalnych, wpływom szpetoty bytu, zdaje się mijać (nie tylko „idealnie”, lecz także jak najbardziej) z przyrodzoną w rozumieniu psychicznym sytuacją swą potencjalną wśród stworzenia.

Są to zagadnienia doniosłe zarówno z punktu widzenia teoretycznego, który postawił tu należy specjalistom-psychologom, jak — życiowego z dziedziny kultury cywilizacyjnej w ogóle, a — uprawy uczuć ludzkich w szczególności.

Ta ostatnia — podobnie zresztą, jak

wszystko niemal, co dotyczy człowieka — kojarzy się nie tylko ze sferą wysiłków jego indywidualnych, lecz i zorganizowanych — nade wszystko w instytucji religii.

Nie dotykając tu jej wartości wewnętrznych, trzeba stwierdzić, że jest ona reglamentacją dążących do zapewnienia ładu społecznego kanonów moralnych: że płynię z potrzeb zarówno jednostkowych jak gromadzkich — że wiąże się nie tylko z pewnymi nakazami państwowości, ale i działających w zgodzie z nią instytucji.

Trzeba jednak pamiętać, że związane ze sferą poruszanych tu zagadnień pojęcia o „duszy” a — reglamentacja spraw choćby i najszczytniejszych, człowieka — to nie jedno. Wszelka bowiem reglamentacja może stawać się tym co najwyżej w stosunku do życia, czym jest gramatyka w stosunku do języka, państwo w stosunku do narodu, a forma wszelaka, choćby i najdoskonalsza, w stosunku do zawartej w niej treści — tj. czymś, co martwe jest i zatrzymane w biegu wobec tego, co żyje i co potęgą żywotności swej stwarza coraz to nowe postacie istnienia, a co mianujemy: „duszą”.

A wszystko to, co nią — quasi ideał platońską — nie jest, przemija z natury rzeczy w obliczu nieśmiertelnego, nie starzejącego się „ducha”; przemija, napelniając drogi pochodno swego oparami nie tylko cnót swoich, lecz i błędów.

Albowiem: *errare humanum est...*

Dlatego apologeta greckiej harmonii — utalentowany w dziejach politycznych przemajowej władca świata — Rzym starożytny — nie pojmwiał i najczystszych nawet prymitywów chrześcijaństwa, zarzucając jego bohaterom *odium humani generis* i poddając ich przesładowaniom, jako rzekomych gorszyli ludzkości. Dlatego zwycięzcy epigonowie męczehskich w swoim czasie apostołów miłości dręczyli potem pogan, nie szczędząc następnie — w dobie herezji i reformacji — ognia ani miecza na zwalczanie wzajemne samych siebie. Dlatego po dziś dzień jeszcze głoszenie a pełnienie hasel, choćby i najwznioślejszych — to sprawy bardzo nieraz od siebie dalekie.

Któż przeto i kiedy bywał wśród owych zmagają się ludzkości z własnym ościeniem jej duszy — gorszycelem, a kto zbawcą?

Odpowiedź na to pytanie jest nie mniej ograniczona, niż ścisłość poznania człowieczego w jakiej bądź dziedzinie.

Mimo to poszukiwaniem sprawdzianem sądów, bodajby do ideału cokolwiek zbliżonym, w świadomości naszej winno być bo życiowo za wszelką cenę być musi, jako weś kryterium, którym nicość dla człowieka być nie może choćby dlatego, że zarówno psychika jego, jak humanistyka powiadają mu niezbicie: *natura horret vacuum*.

Jeżeli nadto i najgłębsze dociekania dzisiejsze przyrodnicze prowadzą do wniosku, że „wszechświat to lupinka tego, co jest, szybująca na falach nieskończoności tego, czego nie ma, to — mimo wszystko — owo coś, co jest, nie jest i nie może być dla nas tym samym, co to, czego nie ma. To zaś, czego nie ma, nie wyzerpuje z zasobu pojęć naszych tego, co w nich jest — tym bardziej, że nic nie upewnia nas, iż to, co w pojęciach naszych dziś nie istnieje, nie znajduje się w nich nigdy.

Odezuciem takim darzy nas zarówno stosunek życiowy psychiki naszej do świata, jak kwiaty jego duchowe: wiara, nadzieja i miłość.

To prawda, że przedmiot ich może i mu-

si być zawsze i wszędzie w życiu — na tle różnorodności jego zmienności — względny, wszelako ludzkie kategorie psychiczne trzech cnót pomienionych są nie mniej „bezwzględne”, niż kartezjańskie: *cogito ergo sum*.

Poucza nas o tym zarówno przeciętna psychika nasza, jak humanistyka, a bez pouczeń tych i głoszonego przez nie sensu życia — nie moglibyśmy w ogóle mówić o rozwoju, czy uduchowianiu się ludzkości, jak również o jej — wedle pesymistów — obniżaniu się okresowym.

I popadlibyśmy sceptycznie w nihilizm: owoce tegoż w gruncie rzeczy obskurantyzmu, uwstecznienia, który zwykł towarzyszyć jaskiniowcom.

Któż tedy — raz jeszcze pytamy — gorszycelem jest, a kto zbawcą?

Teń, co podtrzymuje w człowieku i ludzkości wiary, nadzieje i miłość — choćby jako kadry jej odczuwania i zastanawiania się nad rzeczami — czyli też ktoś, co kadry te paraliżuje, usypiając człowieczeństwo lit tylko dla tego, że dany stan życia nie zgadza się tu i owdzie w danej chwili z głoszoną przez kogoś — szablono!

A przecież powiedziano: *Idź, a jakoś uwierzył, niech ci się stanie...*

\*

Człowiek — jak wszystko co żyje — rozwija się z biegiem czasu, w którego ramach danym mu bywa wśród wysiłków osiągać pewne udoskonalenie wartości swych najwyższych. Tak dalece, że człowiek stary może niekiedy dostrześć poza sobą nie tylko sprawy swe „przemijające”, ale wśród nich — w obliczu „duszy” własnej — bodaj i samego siebie.

Na ogół jednak — w życiu — wśród pełni jego doznań, człowiecza „miłość samego siebie”, oraz towarzyszący jej automatycznie nakaz odpowiadający jej skłonnościom „prawa doboru”, brzmiającego: bliscy sobie niechaj trzymają się razem! — to potęga, jak życie samo, niezwalczona!

Gdybyśmy też wyobrazili sobie ową miłość i to prawo jako wzrok, sięgający tym dalej, im wyżej wznosiłbyśmy się na szczyty istnienia, to *alter-ego* naszym stałby się ten, co by równie daleko wzrok swój roztoczył.

Stałby się on jedynym przyjacielem naszym: pomieniona bowiem miłość i prawo sięgają na ziemi i niebie ponad wszystko to, co prawem tym i miłością nie jest.

Atoli, skarbowym tym beczennym towarzyszy jako płynąca z przeznaczeń ludzkich więź fikcyjna wprawdzie, lecz sugestyjnie potężna, zbiorowisk, grup, gromad, społeczeństw, ludów i narodów — której imię: *złudzenie (cywilizacyjne!)* orzekające, że nie tylko my, lecz i inni miłują i dostrzegają naokół siebie też samo i tak samo, co i jak miłujemy i widzimy — my.

Inaczej — wszystko, co ludzkiego jest na świecie, uległo by w chaosie (antykulturalnym) indywidualnych egotyzmów człowieczych — rozproszonym.

Otóż — kłęską powojennych czasów naszych, które podkopały wszędzie w świecie podstawowe walory cywilizacji, jest osłabienie pomienionego „złudzenia”, spowodowane — mimo nienaruszalności trybów psychologicznych bytu — zbyt ostrym pod wpływem „nieludzkich” doznań wojennych wejściem w życie i w ludzi, podobnie jak my dotkniętych dziś wszędzie obnażeniem (niekulturalnym!) swego zmysłu spostrzegania.

A wśród bezmiaru powstających stąd „przemian” życiowych wybija się tu nadto na ich czoło potężne zjawisko inne.

Oto, Chrystus — z idealnie arcyczłowieczych i przeto boskich wysiłków, oraz zmagają się Ducha Swojego z doczesnością, w celu zaszczerpienia Go ludzkości, znalazł jako wyjście — Swą śmierć męczehską, uznając przez to Sam, że ludzie w swej większości przytłaczającej, a władnej, zdolni są tylko Go ukrzyżować.

Nie przeto dziwnego — zwłaszcza z punktu wyjścia psychiki pospolitej — że ludzie — „tymczasem” po dziś dzień, a jak najnamitniej — krzyżują Go bez przerwy w osobach Jego naśladowców.

Odnosi się jednak wrażenie, że gdyby — wobec utajonej w głębi życia i rządzącej nim stamtąd jak gdyby kosmicznie miłości, będącej ponadto prawdą nacelną chrześcijaństwa — wszelka jednostka, jako kropła, odbijająca w sobie „wszechświat”, dalej zaś wszelka grupa ludzka, nie zrywając (złudnie!) związku swego cywilizacyjnego z powszechnością — szukała zechciała nade wszystko we wnętrzu duszy własnej Boga — to warunkujący jedyną do pomyślenia cywilizację, godną człowieczeństwa i duszy człowieczej rozwój chrześcijaństwa w świecie, stałby się na ogół może głębszy, pełniejszy i nade wszystko szybszy.

J. K. KOCHANOWSKI

# „GAZETA POLSKA”

rozpoczęła druk znakomitej i w najlepszym gatunku sensacyjnej powieści

JOSEPHA CONRADA

## TAJNY AGENT

w świetnym przekładzie Anieli Zagórskiej

„Gazeta Polska”, jako jedyny dziennik w Polsce posiadający stały odcinek literacki, daje swojemu czytelnikowi systematyczny przegląd nowości wydawniczych.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, SZPITALNA 1  
ODDZIAŁ MIEJSKI, Al. Jerozolimskie 12



KAZIMIERZ CZACHOWSKI

## NARODZINY TALENTU

Autentyczna opowieść z życia przemysłowców na granicy polsko-rosyjskiej stała się już wybitnym zdarzeniem literackim, co tym bardziej zadziwia, że *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*<sup>1</sup> Sergiusza Piaseckiego jest książką na wskroś romantyczną. Romantyczność wypływa już z faktu, iż autor, ur. w roku 1901 syn urzędnika pocztowego, po ukończeniu 7 klas gimnazjum czynny w powstającej organizacji przeciw bolszewikom, następnie podchorąży szkoły warszawskiej i uczestnik kampanii 1920 roku, po wojnie wywiadowca II oddziału, nie tyle z braku lepszego zajęcia lub dla zysku, co z zamiłowania do niebezpiecznej przygody, stał się „asem” przemysłowców; za bandytyzm skazany na karę śmierci, lecz ulaskawiony, w 11 roku odsiadania kary w więzieniu świętokrzyskim, w zbiorowej celi więziennej, ujął się pracy pisarskiej i pierwszą wydaną książką, w tak trudnych warunkach napisaną w ciągu półtora miesiąca, zyskał od razu szeroki rozgłos w literaturze i wielkie powodzenie u czytelników. Przyznać zaś trzeba, że ta książka, jakże niezwykle i przedstawiająca życie bardzo osobliwe, jest książką z prawdziwego zdarzenia.

Jej autor to nie żaden Urke-Nachalnik, którego sztucznie rozdęta sława literacka okazała się sensacyjną jętką. Albowiem w Sergiuszu Piaseckim, gdyby nawet miał pozostać autorem tylko jednej książki, zyskałby pisarza o niewątpliwym talencie i — mimo pewne, nieliczne zresztą, błędy językowe, z którymi nie zdołał się jeszcze uporać, — artystę świadomego w odkrytym przez siebie powołaniu literackim.

Ow *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, jak autor ochrzcił swego powieściowego bohatera, będącego żywym odbiciem własnej osobowości i autentycznych przygód pisarza, zjednywa nas i pociąga niepodrabianym, naturalnym romantyzmem postawy życiowej.

Wprawdzie Piasecki nie poetyzuje życia ani zawodu przemysłowca, przedstawia je bez żadnych obłonek. Przypomnijmy sobie jednak choćby taki ustęp opisu jednej z wielu wypraw: „Poruszamy się bez szmeru, — jak cienie, jak widma. Jesteśmy sprytni, doświadczeni, przebiegli, śmiały, dobrze uzbrojeni, pewni siebie... Przyjemnie pracować w takich warunkach, z takimi kolegami...” Widać stąd, jak zresztą z całej książki, że bohater-narrator opowieści, czyli sam autor, szczerze sympatyzuje z opisywanym środowiskiem społecznym, i to tak dalece, że i czytelnikowi udziela się to współczucie z dzielną gromadą „asów” granicy, chociaż są to dosłownie bandyci, nie wahający się przed grabieżą, gdy się zdarzy okazja, nie tylko swych przedsiębiorców, lecz także swych współzawodników, a nawet gotowi zabić przeciwnika, aczkolwiek jedynie w walce albo w koniecznej samoobronie.

Gromada to rządząca się wszakże swoistą uczuciowością zawodową i jakimś aż rycerskim honorem, co dla zachowania godności przemysłowca każe w końcu prowadzić całą akcję korsarską rozgramiania band tak zwanych „powstańców”, czyli nowych adeptów rzemiosła, nie przestrzegających obowiązującego dotąd „klasowego” obyczaju. Wiernych temu niepisaniu prawu „starzych” przemysłowców poznajemy właśnie z opowieści Piaseckiego, opowieści romantycznej nie tylko z tego powodu, wszakże przez swoją ideę rehabilitacji przestępcy nabierającej mimo woli charakteru aż bajronicznego.

Aspekt wybitnie bajroniczny ma przede wszystkim sam narrator, bo chociaż opowiada on o sobie ze skromną wstrzemięźliwością, lecz jest to tylko pozór, choćby nie zamierzony, albowiem fakty mówią za siebie. Nie robi on z siebie żadnej ofiary losu, i owszem, opowiadając po prostu o swym przemysłowym życiu, wręcz wyznaje, że życie to mu odpowiadało, że było mu ono właściwym żywiołem, w którym mógł całkowicie wyładować swój bujny temperament.

Zresztą wiedzie mu się dobrze, skoro nawet z najgorszych oparów wychodzi cało i zawsze gotów do nowej przygody.

Ponad miłość kobiecą, którą nie gardzi, ale łatwo się z nią rozstaje, wyżej ceni przyjaźń męską, gotów dla niej do wszelkich poświęceń. Wśród tych przyjaźni, których przedstawia z gorącym entuzjazmem, a zawsze w sposób żywo zindywidualizowany,

znajdują się najwybitniejsi rycerze rzemiosła, od wspaniałego Saszki Weblina, króla granicy, aż po Szczura, Kruczka i Grabarza, ostatnich współtowarzyszy wypraw. Jedni z nich giną, inni odchodzą do spokojniejszego bytu.

Wreszcie, jak przystało na bajronicznego korsarza, z licznej gromady narrator nasz zostaje na pograniczu samotny, zmuszony do ukrywania się przed poszukującymi go i tropiącymi po obu stronach strażami wojсковymi i policyjnymi, wciąż jednak czynny, nie dla pieniędzy, których zdobył już wiele, ale nie dba o nie, natomiast i z zamiłowania do życia niebezpiecznego wśród pól i lasów, i z chęci wypełnienia przyrzeczenia danego zmarłemu towarzyszkowi.

Gdy i tego dokonał, z żalem rozstaje się z tym pograniczem, gdzie w natłoku sensacyjnych przygód i wrażeń spędził iście romantyczny okres życia.

Nie mniej romantyczny jest stosunek narratora do przyrody, w której i pisarz osiąga najpiękniejsze, najlepiej pogłębione chwile swego artysty. W obrazach przyrody Piaseckiego nie ma nic sztucznego; całe opisanie przez niego współżycie człowieka z dziką naturą odznacza się rzadką szczerością odczucia i prawdziwie poetyckim polem o niespodzianej wzniosłości. Narrator opowieści dokładnie zdaje sobie sprawę, czym się dla niego stała przyroda, w której odnalazł swobodę bujnego życia i niewyczerpane źródło ożywej siły. Na tle wycieczki do Wilna daje też bezpośredni wyraz swej niechęci do miasta, którego klimat i ludzi osądza bardzo surowo, a skąd co najrychlej umyka, aby powrócić na szlaki graniczne, do swych ukochanych noc, w których za drogowką służy mu gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy.

Teśnotą za tymi szlakami i za tym drogowką, urastającym do znaczenia sym-

bolu, jest dogłębnie przepojona cała ta książka wspomnieniami o czasach niepowrotnych, rozpamiętywana i marzona przez długie lata więzienne, wreszcie spisana z zaiste niezwykłym rozmachem pióra i objawionego z nagłą temperamentu artysty.

Trudno rokować o przyszłości literackiej Sergiusza Piaseckiego, wszakże o *Kochanku Wielkiej Niedźwiedzicy* ponad wszelką wątpliwość stwierdzić się musi, że ta nowoczesna a w pełni autentyczna powieść w stylu bajronowym jest rewelacją rzetelnego i wielkiego talentu.

Przypomnieć tu zaś można *Pożogę*, również książkę wspomnień, która rozpoczęła karierę literacką Zofii Kossak i pozostała jedną z najpiękniejszych książek znakomitej autorki. *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy* zrodził się wprawdzie w zupełnie odrębnym środowisku, ale... *spiritus fiat ubi vult*.

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

## POLSKA ZAPOMNIANA



SUPRAŚL. FRESK Z CERKWI POBAZYLIAŃSKIEJ

Foto C. B. I. S.

<sup>1</sup> SERGIUSZ PIASECKI: *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój”. Str. 415. (Z przedmową Melchiora Wańkowiaka).



# K S I A Ź K I

OLGIERD GÓRKA: *Naród a państwo jako zagadnienie Polski*. Warszawa 1937. Nakładem Biblioteki Polskiej.

Książka prof. Olgierda Górki wywołała szeroką dyskusję merytoryczną na temat poruszonych w niej problemów. Jak wiadomo, zawiera ona szereg tez naukowo-politycznych, oraz obszerną część ideowo-publicystyczną, omawiającą najaktualniejsze sprawy polskiego życia współczesnego. W ostatnim, 7-8 n-rze *Drogi* znajdujemy niezmiernie interesujące omówienie dzieła prof. Górki; zamiast samodzielnej recenzji, damy więc szereg cytów z tego omówienia zacierpniętych, gdyż uważamy, że bardzo trafnie ocena założen prof. Górki została tam sformułowana.

Kwestię mniejszości narodowych, a zwłaszcza mniejszości żydowskiej, uważa prof. Górka za sprawę kluczową polskiej teraźniejszości. Oto co pisze recenzent: „Prof. Górka znakomicie zbija tezę antysemityzmu polskiego, będącą główną, a właściwie jedyną podstawą całego tego systemu, mianowicie wiarę w to, że ograniczenie praw Żydów i ich przesładowanie musi pociągnąć za sobą masowe opuszczenie przez nich kraju. Książka znakomicie uwydatnia nonsens tej tezy, która zupełnie nie liczy się za sprawą możliwości emigracji masowej i jak gdyby jednorazowej: taka emigracja byłaby niemożliwa nawet w okresie przedwojennym, wówczas gdy dla wychodźstwa polskiego stała otwartą cała Ameryka. Tym mniej jest ona możliwa obecnie, gdy — konkretnie rzeczy biorąc — dla emigracji żydowskiej nie ma miejsc, poza małą Palestyną, która według najnowszych projektów angielskich ma się ograniczyć do drobnego skrawka ziemi, nie większego terytorialnie od trzech polskich powiatów. Emigracja Żydów z Polski musi mieć miejsce i będzie miała miejsce w stosunku coraz większym, gdyż sądzić należy, że wysiłki przede wszystkim rządu polskiego, bo to do niego w pierwszym rzędzie należy, doprowadzą do znalezienia innych jeszcze terenów kolonizacyjnych. Ale są to sprawy niezmiernie trudne, długotrwałe, a przede wszystkim bardzo kosztowne, więc w każdym razie musimy być przygotowani na to, że Żydzi, chociaż we wciąż zmniejszającym się stosunku odsetkowym do reszty ludności, pozostaną jednak w Polsce masowo jeszcze przez dziesiątki lat, a zapamiętała i bezwzględna walka z nimi, oparta na nienawiści, która byłaby niejako składnikiem polityki narodowej na tak długi okres czasu, musi być odrzucona nie tylko z pobudek humanitarnych, ale przede wszystkim ze względu na moralne zdrowie narodu naszego, które w atmosferze nienawiści dobrze się mieć nie może — a także ze względu na wewnętrzny pokojowy rozwój państwa.

W tych rzeczach zgadzamy się z autorem najzupełniej. Wsuwa on twierdzenie, że do emigracji Żydów potrzeba nie tylko ażeby oni chcieli, ale ażeby mogli emigrować, a obecnie tego w wielkiej masie uczynić nie mogą. Dowodzi też najtrafniej, że emigrować może ludność coś posiadająca, a doprowadzenie mas żydowskich do zupełnej ruiny i nędzy właśnie ich emigrację utrudni. To prawda, ale — z drugiej strony — nie można zgodzić się z autorem, gdy on sądzi, że drugi obok możliwości moment decydujący, t. j. chęć, istnieje u Żydów w stopniu zupełnie stanowczym, i to niezależnie od takiego czy innego stanowiska narodu i państwa polskiego. Piszącemu te słowa wydaje się, że gdyby w społeczeństwie polskim nie istniały żadne tendencje do polszczenia miast drogą napływu do nich ludności polskiej, do zajęcia się przemysłem i handlem, do spółdzielczości, to wątpić należy, aby masa społeczność żydowskiej, świadoma wyłącznego panowania w tych dziedzinach i nie obawiając się poważnej konkurencji, naprawdę emigrować chciała. Sądzę, że rozwijanie wyżej wymienionych tendencji w naszym społeczeństwie stanowi kategorię nacisków interesu narodowego, racji stanu, a także postępu kulturalnego Polski. Ale tendencje te mają wielki walor wewnętrzny, niezależny od sprawy żydowskiej, i winny być mocno popierane nie pod hasłami nienawiści do Żydów i walki z nimi, ale pod pozytywnym hasłem dobra Polski i konieczności jej rozwoju. Następstwem wzmoczonego działania tych tendencji i ich realizacji będzie utrata przez Żydów ich monopolistycznego znaczenia w handlu i znacznej części przemysłu, a to podniecać musi ich chęć do emigracji. Mamy jednak wówczas do czynienia z konieczną, niekorzystną dla Żydów konsekwencją pewnego niezbędnego procesu społeczno-gospodarczego, a nie z akcją nie tylko bezprawia, bo to nigdy nie jest dopuszczalne, ale nawet z akcją pokojową, wyrosłą z nienawiści i nienawiścią karmioną.

Wiążąc sprawę mniejszości narodowych ze

sprawą mocarstwowej pozycji Polski na terenie międzynarodowym, „autor zatrzymuje się na liczbowych stosunkach załadunku, mianowicie na fakcie, że t. zw. mniejszości stanowią prawie 1/3 część ludności państwa. Fakt to powszechnie znany, nie jest niczym nowym, ale konsekwencje tego faktu, które autor uwydatnia, są mało znane i mało rozumiane, chociaż — zdawało by się — stawały oczywiste, bezpośrednie i konieczne jego następstwem. Jeżeli zastосуjemy do narodowości niepolicheskich wskazania nacjonalistyczne, czyli wypowiedy im walkę, w takim razie siła liczebna, twórcza państwa polskiego zredukowana zostanie do 2/3, ponieważ 1/3 część obejmująca mniejszości w pracy państwowotwórczej udziału nie weźmie — nie tylko dlatego, ażeby nie chciała, ale także dlatego, że zasadniczo będzie od niej odsunięta. Lubimy popisywać się naszą mocarstwowością, a na jej uzasadnienie przytaczamy przede wszystkim 34-milionową ludność i to jest uzasadnienie główne, bo inne tytuły wyglądają słabiej. Jeżeli liczba czynnych obywateli państwa spadnie do 23 milionów, to oczywiście ten tytuł liczebny o wiele słabiej występować będzie. Tak wygląda sprawa w przypuszczeniu zupełnego biernego zachowania się mniejszości, przeciwko którym jednolita wola narodu polskiego byłaby zwrócona. Ale można obawiać się gorszego, a mianowicie działania tych mniejszości masowo przeciwko dobru Polski, a w takim razie odpowiednia liczba Polaków byłaby zneutralizowana dla walki z nimi i liczebna potęga czynna narodu jeszcze by spała. Szczególnie groźnie wygląda ta sprawa na wypadek wojny; wówczas jest koniecznym

nakazem powszechne pragnienie i dążenie do zwycięstwa w obrębie całego narodu, a w szczególności jego siły zbrojnej. Czyż wolno dopuścić od tego, aby 1/3 część tej siły nie była przejęta dążeniem do zwycięstwa, pozostawała obojętna, jeśli nie wroga, gotowa skorzystać tylko z okazji, aby na szkodę sprawy polskiej działać? Nie wątpię, że pomiędzy naszymi nacjonalistami, przeciwstawiającymi się realizacji wszelkich praw narodowościowych, przeważają szczerzy patriotcy polscy. Dla nich przecież prosty rachunek, w książce prof. Górki przytoczony, powinien stanowić groźne *memento*.”

Według recenzenta, którego poglądy cytujemy, ustęp dzieła prof. Górki, poświęcony sprawie Obozu Zjednoczenia Narodowego, nie jest organicznie wkomponowany w całość. „Nie wiem, czy ustęp ten jest w książce prof. Górki konieczny, ponieważ nie dotyczy on bezpośrednio omawianego w niej zagadnienia. Jeżeli by jednak traktować proklamację Obozu z punktu widzenia zagadnienia przez prof. Górkę postawionego, to mniemałbym, że sama zasada utworzenia obozu podstawowej tezie książki nie odpowiada. Zasadą tą jest zjednoczenie w obrębie Rzeczypospolitej narodu polskiego jako całości osobnej, w sobie zamkniętej i do siebie innych narodowości w państwie zamieszkałych nie dopuszczającej. Gdyby ta myśl się ziszcila, to jest gdyby Oboz objął całość względnie ogromną większość narodu i gdyby wykazał odpowiednią przeżność — to w Polsce musiałyby się wytworzyć dwa światy: jeden zorganizowany narodowo-polski, a drugi obejmujący inne narodowości, które, odczuwając swoje wyrzucenie poza nawias

polskiej kierującej organizacji politycznej, zapewne by się jej przeciwstawiły, starały się walczyć z nią i narodem polskim, którego ta organizacja byłaby wyrazicielką. Czy tak się sprawy potoczą, to nie wiadomo; ale pewne jest, że już możliwość wytworzenia się podobnych stosunków nie harmonizuje z zasadniczą tendencją książki prof. Górki, która warunkuje polityczny dobrobyt państwa, a tym samym i realizację polskiego interesu narodowego, zharmonizowaniem politycznym mniejszości narodowych z państwem i zespoleniem tych mniejszości z narodem polskim pod hasłem dobra państwa polskiego.”

Powyższe cytaty dowodzą, że dzieło prof. Górki stanowi doniosłe wydarzenie w polskiej publicystyce politycznej i powinno odegrać odpowiednią rolę w obywatelskim uświadomieniu tych, którzy o przyszłości państwa i narodu polskiego myślą.

TADEUSZ TESLAR: *Polityka Rosji sowieckiej podczas wojny z Polską*. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1937. Str. 267.

Autor *Polityki Rosji sowieckiej podczas wojny z Polską* odlatania przed czytelnikiem szereg momentów historycznych, które charakteryzują nieuniknioną i przygotowywaną wojnę Rosji z Polską nazajutrz po wybuchu rewolucji bolszewickiej. Studium swoje podzielił autor na trzy główne momenty: zaczątki ekspansji politycznej Rosji sowieckiej przeciwko Polsce, — zakusy Rosji sowieckiej na Ukrainę i klęską polityki Rosji w 1920 r.

Niezmiernie interesujący jest rozdział obrazujący stosunek Rosji do Polski w zaraniu niepodległości. Krótko podana historia tworzenia na ziemiach polskich pierwszych sowieckich republik Białorusi, Litwy — oparta na nieznanym źródłach sowieckich — przekonywająco omawia formy narzucenia wojny Polsce przez Rosję Lenina. W rozdziale o Ukrainie autor syntetycznie nakreśla grę rosyjską zmierzającą do opanowania wyzwalającej się Ukrainy, jako pomostu dla ułatwienia skoku poprzez Polskę na państwa zachodnie, by tam wznieść „pożar rewolucji” — o czym marzyli Trocki i Tuchaczewski. W rozrywiec tej Józef Piłsudski krzyżuje plany Moskwy. I chociaż wyprawa kijowska kończy się dla Polski niepowodzeniem, projekt sowiecki utworzenia republiki „Czerwonej Galicji” musiał spełznąć na niczym. Moment trzeci i ostatni w studium Tadeusza Teslara obejmuje dzieje akcji Kominternu na terenie międzynarodowym. Szczególnie zwraca uwagę końcowa część książki — mówiąca o wpływach antypolskiej polityki sowieckiej w Niemczech i Anglii.

Synteza książki jest ustalenie prawdy historycznej mało ciągle uwypuklanej, że Rosja sowiecka oprócz porażki militarnej poniosła w wojnie z Polską przede wszystkim klęskę polityczną.

Obfita bibliografia wskazuje, że źródłowa praca Teslara stanowi ważny przyczynek do badania stosunku politycznego Rosji do Polski. I dlatego jest to książka niezmiernie aktualna.

ADAM SIEWIERSKI

ROSA BAILLY

## W ZŁO TY

*Sam na sam z burzą — w gór pierścieniu,  
Patrzmy sobie w twarz. Milczenie. —*

*Gwiezda razbłyska wśród potoku,  
Druga na skalnym świeci bloku.  
Piarg skrzy się, dżdżu złotą mieni...  
O, kwiecie pustki! Gór bezdeni!*

*Wiew płynie, sunie drobna węgą  
Po trawach, pędach, ziół tyścisach...  
Wód pianę kłębi i rozrąca...*

*Wtem burza — pasterz wściekły — ostrym biczem zatnie  
Stado gór, które w szale aż do nieba skoczy,  
Wychynąwszy w popłochu z czarnych mroków matni...  
Ich krzyk grozy grami... dudni... glucho u dal się toczy...*

*Już przeszła przez słońca zwycięskiego grotę,  
Przestrzeń zwolna opada w chmur pocięta platy,  
Odlatując widoku strzęp, jak rąbek szaty,  
Co się wydarł dopiero z burych mgieł ciemnoty:  
Lęk w nim dyszy, zrodzony wśród gromów loskotu...*

*Wezbrany potok zerwał mostu pęta,  
Przerzuczonego wpoprzek siodła wzorem,  
Skruszyl spojenia żelaz i cementu,  
Patrząc wzgardliwie, jak pod wód naporem  
Stos gruzu rośnie... Teraz mostu szczątki  
Zlorzeczą falom uśmiechniętej wody,  
Co pluszcze cicho, lekko jak z początku,  
Niosąc znów odbłysek złotej dnia pogody.*

*Jak serce, które bije w rytm szalony,  
Kolyszac bolu i miłości burze,  
Góra dziś wszystkie zmieszala sezony,  
Śniegiem rozkwitłe posypując różę,  
Mrokiem zgasiwszy skal lodowe szczyty,  
A złocąc słońcem tęskne zimowity...  
W dniu tym widziałam, jak się nawalnica  
Miota i szpony w własnym topi lonie...  
Wtem — lazur nieba majowy prześwieca,  
Sunąc jak uśmiech po czarnym gór skłonie...  
W dolinę i w mą duszę spadły naraz błyski  
Słońca, zmieszane z gromem, i gradu pociski.*

*Ten cichy wieczór w chmury  
Kłęb  
Przystroił góry,  
Dolin głąb.*

*I dzień, co w jeden łańcuch spiął  
Wystrzały blasku, burzy grom,  
Apoteozą kończy śpiew...  
A już dalekie czoła gór,  
Drżmiące pod oponą chmur,  
Różowi krew.*

Przełożyła JADWIGA WAZEWSKA

**DLA CHRZESNIAKÓW**  
ROCZNA PRENUMERATA  
**PŁOMYCZKÓW**  
TO NAJLEPSZY UPOMINEK  
5  
LUB 9 ZŁ.  
40  
RABY  
(CO TYDZIEŃ) PRZYNOŚI  
**RADOSNE NIESPODZIANKI  
I POŻYTECZNĄ ZABAWĘ**  
W POSTACI BARWNYCH, PIĘKNYCH BOGATO  
ILUSTROWANYCH TYGODNIÓW  
ZAMAWIAC MOŻNA: Wydawnictwo Z. N. P. Warszawa  
Smulskiego 1 lub wpłacając na konto nr 6880 w PKO, a także  
w każdym urzędzie pocztowym i w listonoszów.



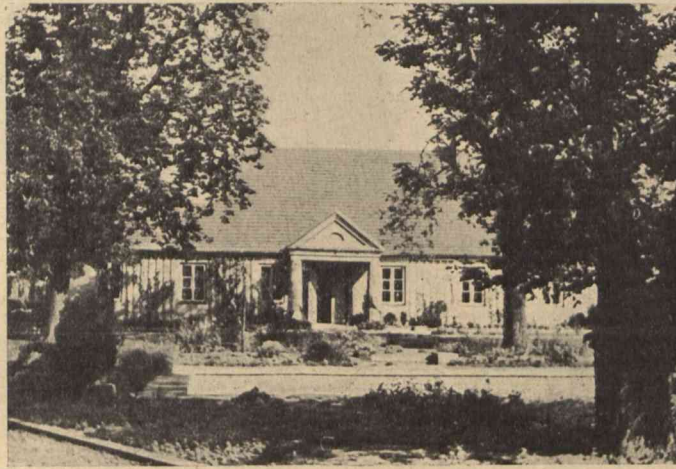
TYMON TERLECKI

## WIZYTA W ŻELAZOWEJ WOLI

Na kilka dni przedtem klóciłem się z kimś zaż za żab o Żelazową Wolę i Żulów. Że powinno zostać jak było i jak jest. Że tak powinno tu i tam trwać niezmiennie i nietykalnie, po wieczne czasy.

Gdy pojechałem do Woli, cała pewność padła od jednego wejścia. Wiał tego dnia zbyt porywisty, zbyt namiętny wiatr kwietniowej wiosny. Na ostrym niebie czesały się obłoki, jak wlna na siwym, stalowym zgrzeblu. Zrozumiałem, że całe onegdajsze dowodzenie opierało się na fałszywej analogii z zabytkami sztuki plastycznej, na złudzeniu nieprzemijalności. Któż wie, jak było tu, gdy w oficynie pańskiego, hrabiowskiego dworu rodziło się dziecko blade i genialne, któż może sprawić, aby było jak było, aby zostało jak jest? Oto żyją i umierają drzewa, przemijają, jak ludzie i jak obłoki. Oto dotyka je ślepa klęska, odmienia je niewiadoma i niepochwytana wola przyrody. I jeszcze: jakże to może być tym samym, gdy się staje miejscem kultu, punktem zbornym ludzi i punktem zbornym przeżyć zbiorowych?

Dopiero w Żelazowej Woli pojąłem, że z ogrodu, z parku, ze skrawka przestrzeni, nad którą przepływają obłoki i pory roku, można uczynić dzieło sztuki osobnej, odrębnej od wszystkich innych, którymi człowiek wspiera swój los, zwycięża rozpaczliwość istnienia. Pojąłem, że możliwa jest kompozycja żywej przestrzeni, żywego,



ŻELAZOWA WOLA — DWOREK

tyw, nowe sprzęgnięcie żywych i martwych elementów kompozycji, nowa dramatyczna sprawa między niebem i ziemią, między zielenią, barwą kwitnącą, a architekturą. I zdaje się, że to już nie oczom, ale jakimś jeszcze subtelniejszemu czuciu odsłaniają się sprzeczki, kontrasty, gamy, fioritury kolorów, odcieni, tonów.

Osobliwość tego teatru zorganizowanej przyrody stanowi, że ilość sytuacji jest w nim niemal nieskończona. Osobliwe w tej muzyce jest, że nie przebrzmiewa, że trwa i odmienia się i mnoży w przestrzeni bez końca. Jest to teatr, w którym poruszam się swobodnie. Jest to muzyka, której słucham do woli. Może właśnie tu jest najbardziej osobne znamię tej sztuki, że się w niej współdziała czynnie, że się wyzwala z dzieła nie policzone możliwości wyrazu.

Nie dość tego. Jest w nim jeszcze: wezwanie do snu, apel do marzenia. Takie jakie jest to dzieło, pełne tyłu podnięt, pełne nieobjętego bogactwa — nie jest definitywne. Twór każdej innej sztuki dany jest w stanie ukończenia, w kształcie mniej lub więcej ostatecznym. Dzieło sztuki ogrodowej zawieszono między niebem i ziemią staje się ciągle, tli się w nim nieugaszona niespodzianność. Zawsze trwa w stanie zarysu, który się dopełnia, który się bogaci w szczegółach.

Gdy tam jestem, wszystko jest opylone dziecienną zielonością, jak mgłą, jak uśmiechem obietnicy. I muszę marzyć, jak będzie za miesiąc, za dwa, za trzy, w lecie, w jesieni? Jak będzie za rok, za dwa, za trzy, u kresu lata tych krzewów, u początku jesieni dojrzałej tych drzew?

To wszystko jest powzięte w duchu nowoczesności. Nie przypomina niczym oschlej, racjonalistycznej geometrii ogrodu w Versailles, ani romantycznej fantazyjności parków angielskich. To jest trochę jak muzyka atonalna. Trochę jak teatr, o którym się mówi — może z odrobiną wyzywającej demagogii — „antystetyczny”.

Zuchwale zestawienia kolorów. Spojma niebieska, jak farbka do prania, skojarzona z martwą bielą muru, z zimną, nienazwaną zielenią, z forsytią beczelnie żółtą, jak mimosa. Cegła szamotowa polyskująca metalicznie, a ciemnoruda, jak razowice, wymieniająca się z szarobiałą, sąsiadująca z naturalnym, nieforemnie łamanym kamieniem.

Nie mniej śmiało operowanie linią: prostą, krzywą, zygzakowatą, kolistą. Gdzieś

jest prostokątne lustro wodne i zaraz obok półkole drzew. Bawią asymetrie, świadome zalamania osi. Kolo za domem, ujęte w rzędy tsug, wydaje się miejscem akustycznym czystym. Tu się jej doświadcza materialnie, jak dźwięku, dotykalnie, jak wzruszenia. Od tego kola wychodzi prosta aleja w stronę jeszcze nie istniejącego mauzoleum.

Drzewa, tysiące drzew, krzewy, kwiaty, których nie umiem nazwać. Migdał znad Dniestru, bez, który wynalazła jakaś Kanaadyjka, zblękitnione cyprusy, jodełki z różowymi, niewinnie obnażonymi sutkami, wierzbę o kłotkach zbyt wielkich i pyłających żółto, klon amerykański obwieszony precjozami wczesnej wiosny, srebrny oliwnik, którego liść rozarty pachnie, jak niedojrzałe jabłko i zakazana radość dzieciństwa.

Na dnie tego świata cudów teatr dionizyjski. Tarasy z darni wspinają się jedne nad drugimi, jedne poprzez drugie zstępują w dół, do podłużnego stawu, w którym nar-

czyzowo przegląda się wierzbę. Za wodą biała, kamienna orkiestra. Dalej jeszcze jedno oparcie dla oczu: olszyna — zasłona z powiewnej zieleni. I dalej już tylko niebo. Teraz zalega orkiestrę cisza, cisza tysięcy nieobecných śpiewaków i muzyków. Tylko gdy podejść bliżej, słycać, jak ją wypełnia muzycznym szelestem Utrata, krzywo snująca się w lozach, ciemna, jak wywar dębowy.

I pośrodku biały domek, ujęty w to wszystko, jak w oprawę cyzellerską, uniesiony w górę, jak oplątek w świetlanej monstrancji. Od strony rzeki podtrzymują go pergole. Z innej strony ta przestrzeń kolistą, nabrzmiała ciszą. Tu, na to górujące miejsce idzie się najpóźniej: gdy już oczy pełne są tamtego teatru, słyszenie wewnętrzne tamtej muzyki. Biały ganek, kasztany i jesion. Do któregoś okna zagłada japońska wiśnia, wiotka, naiwna i już, jak pospiesznie, kwitnąca. Odpowiada się jej wzruszeniem wdzięczności za ten pospiech. Prawie puste są jeszcze jasne pokoiki, ta zacieniona wnęką, w której po raz pierwszy utworzył oczy, zaczął łowić odgłosy ziemi, mające mu się układać w melodie najsłodszych zachwyceń. Proste, ale wypełnione atmosferą wytrwałego, czulego entuzjazmu, jakim otoczono to miejsce.

Odjeżdżam stamtąd, jak bym wychodził ze snu. I myślę, że właśnie to, właśnie takie, jest godne Fryderyka Chopina. Jest równo jego artystycznej zjawiskowości. W najuboższym, najsmutniejszym pejzażu mazowieckim powstaje twór żywy, jak teatr eluzyjski odziewający się coraz w młodą zieleni i śmiertelną nagość, rosnący w rytmie przyrody i w zgodzie z twórczą wolą człowieka, klejnot nowoczesności ostrej, wyrafinowanej, a jednocześnie prostej i harmonijnej, dzieło planistyki i architektury ogrodowej europejskie i godne pokazania Europie.

I gdy wspominałam Żelazową Wolę, gdy ją widzę w myśli, nachodzi mi pragnienie, aby tam wrócić, by tam wracać ciągle i patrzeć, jak Bóg, uczeń pokorny i genialny, będzie cierpliwie dopełniał dzieło pomyślane, zakreślone przez artystę-człowieka.

TYMON TERLECKI



MOSTEK W PARKU

odmieniającego się kształtu, żywego, odmieniającego się koloru. To tylko bezradność wobec nowej formy artystycznego ujęcia świata każe się odwoływać do sztuk dawnej znajomych i bliskich, aby sobie uświadomić, aby nazwać po imieniu doznane przeżycie.

Gdy chodzę po nowym parku w miejscu urodzin Chopina, myślę muszę o teatrze i muzyce. To dzieło kształtowane jest z ziemi, z wody, z drzew, krzewów, kwiatów, z kamieni, schodów, słupów, murów i jeszcze z efektów najbardziej nieobliczalnych, najbardziej płochych, najchęźniej przelotnych: z obłoków niebieskich. A przecież rozwija się, jak akcja, w coraz to innych kuliskach, gra się w muzycznych rejestrach, w coraz to innych połączeniach instrumentów, w coraz to inaczej sprzymierzanych tonach.

Teatr i muzyka. Co kilkanaście kroków odsłania się oczom nowe ułożenie perspek-



ŻELAZOWA WOLA — PERGOLE

## NOWE POEZJE

MIECZYSLAW BRAUN: *Sonety*. F. Hoiesick, Warszawa 1937.

*Sonety* Mieczysława Brauna mają charakter artystowski i noszą dużo cech kolumnowego, trochę sztucznego klasycyzmu. Zbiorek zawiera 43 sonety o zabarwieniu refleksyjnym. Lecz mimo dużej zręczności w wierszowaniu, mimo wyszukania w obrazowaniu — sonety te nie wywierają mocniejszego wrażenia. Wydają się zbiorem ładnie dobranych słów, ułożonych według wszelkich prawideł sztuki poetyckiej, lecz poza wrażliwym pewnego następstwa słów, zwrotów, wyrażeń, nie wywołują w nas poczucia konieczności takiego właśnie, a nie innego doboru tropów, nie budzą w nas uczucia, że autor to właśnie chciał powiedzieć, co ze słów wynika. Wydaje się nam, że autor właściwie nie wiedział, co ma zamiar wyrazić, że w genecie tych sonetów nie było jakiejś jednoczącej koncepcji, że wiersze pisały się niejako same, siłą rozpędu, kiedy jedno wyrażenie ciągnie za sobą drugie, rym wywołuje rym, lecz wszystko to nie związane jednością mocnego przeżycia. Oczywiście, to co pisze dotyczy tylko jakby wewnętrznego wyglądu tych wierszy. Zewnętrznie, od strony formalnej, nie im nie można zarzucić. Rzemiosło to poetyckie precyzyjne i wyrafinowane.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK: *Niepokój wieczorny*. F. Hoiesick, Warszawa 1937.

Nowy tomik Słobodnika jest przedłużeniem pieśni, którą poeta snuje z siebie od szeregu lat. Jest w atmosferze jego poezji ton liryczny czy ligawkowy, jakieś zapiewanie się, monodyczność i melodeklamacyjność w tonacji uczuciowej, roztopienie się w żywiole liryzmu i poetyczności. Wiersze Słobodnika płyną swobodnie i niewymuszenie, jakby bez żadnych oporów natury czy to wewnętrznej, czy formalnej. Proste i szczere w wyrazie, są przeciw wynikiem dużej biegłości wersyfikacyjnej, opanowania rzemiosła wierszopisarskiego, przechodzącego często w rutynę. Autor już nie szuka nowych środków wyrazu, nabyta długim ćwiczeniem wprawa wystarcza mu w zupełności, chce być tylko prosty i śpiewny. W *Niepokoju wieczornym* stroi swą „lutejkę” na ton melancholijny i ele-

giczny, a zarazem przejrzysty. Klasyczny umiar — to postulat ostatniego tomiku. Nastroj uczuciowy tego zbiorku dobrze podkreśla jeden z wierszy: jest to nastrój ostatecznych podmuchów lata, nastrój przedwieczorny.

*Jeszcze tylko godzina do zachodu słońca  
Została, ale drzewa przeczują mrok —  
Wiem — kto teraz owoców z drzewa nie  
postrąca,  
Ten na próżno do sadu skieruje swój krok.*

*Nie zdąży i nie jego wszystko będzie już,  
Strof nowych nie ułoży, słońca nie dogoni  
I nie pobiera z trzoności zmierzającej róż  
Wszystkich ich barw i całej wolażącej woni...*

—mówi poeta i takie nastawienie uczuciu-  
we dominuje w całym zbiorku.

Sporo jest w tych wierszach refleksji, obliczonej w proste i przejrzyste obrazy, nie wyrafinowanej, nie silącej się na filozoficzne głębie, — ale właśnie przez to ujmującej i bardzo po ludzku sympatycznej.

Uderzają akcenty miłości i przywiązania do ziemi polskiej i do mowy, rzewne i naprawdę szczere.

*Kocham Mazowsze, jak jego synowie,  
Przybysz odwieczny, obcy i wzgardzony —  
Ojczyzna moja szumi w polskiej mowie,  
Bliskiej jak ktoś boleśnie oddalony*

— powiada w wierszu *Sen o plugu*, a w innym czytamy:

*A gdy po polsku ktoś mi tam odpowie,  
Ja nawet głuchy, mowię moja, ciebie  
Chwyć, jak błękit chwytałem w dąbrowie.*

*Niepokój wieczorny* — to pamiętnik uczuć, wzruszeń, myśli i niepokojów, to istotnie zbiór wierszy zgodnych z pojęciem liryzmu, twórców prawdziwego i szczerzego poety, poety bez pozory, przy tym zbiór wierszy mających własny odrębny styl i wyraz, dzięki którym wyraźnie rysuje się indywidualność poetyka ich autora. Pewne szkody przynosi tylko tym utworom rutyna wierszopisarska poety, sprawiająca, że przelizguje się on nad wieloma problemami i trudnościami wyrazu.

WŁADYSŁAW SEBYŁA



# SPRAWY NIEMIECKIE

# ROSA BAILLY

## KRYZYS RELIGIJNY

Niemcy przeżywają obecnie okres przypominający czasy reformacji; skostniały na ogół protestantyzm przeżywa głęboki kryzys, katolicyzm zaś z trudem opiera się atakom i prześladowaniom. Jak w szesnastym wieku mnożą się książki, broszury, ulotki polemiczne z dziedziny teologii i metafizyki. W miesięczniku *Das deutsche Wort* (za lipiec i sierpień br.) znajdujemy ciekawe sprawozdanie G. Krolziga z szeregu nowych publikacji polemiczno-religijnych, wskazujących na chaos jaki się wytworzył w sumieniach i umysłach wierzących Niemców. Wymienimy pokrótce za referentem treść co ciekawszych i bardziej charakterystycznych wydawnictw.

Dwaj autorzy, G. Günther i H. Schelsky napisali wspólnie i wydali w Lipsku książkę o metafizyce chrześcijańskiej i losie nowoczesnej świadomości (*Christliche Metaphysik und das Schicksal des modernen Bewusstseins*). Opierają się na niemieckiej filozofii idealistycznej, w szczególności na Schellingu, i pragną uzupełnić „transcendentalną teorię świadomości teoretycznej” także teorią świadomości praktycznej. Akcent pada tu na czyn, *czynny heroizm*; w miejsce chrześcijańskiej idei „Na początku było Słowo” pojawia się kult twórczej żyć i świat — woli. Brzmi to nieco po niemiecku, skądinąd jednak autorzy odznaczają się od tragicznego ujęcia bytu w duchu niemieckim; zwiastują epokę radosnego bohaterstwa, epokę „Prometeusza, oswobodzonego przez Heraklesa”.

O stosunku Nietzschego do chrześcijaństwa traktuje wydana w Berlinie rzecz H. E. Schrödera (*Nietzsche und das Christentum*; charakterystyczna nazwa wydawnictwa: „Widukind — verlag”). Broszura ta składa się głównie z cytatów; we wnioskach autor w oparciu o *Narodzinę tragedii* przyjmuje za mistrzem stanowisko „Dionizosa przeciw Ukrzyżowanemu”. — Referent przeciwstawia tę książkę pracy omówionej poprzednio i podkreśla różnicę między pełnym siły witalnej mitem o oswobodzonym Prometeuszu a „ciemnym fatalizmem religii dionizyjskiej”.

Z tą antynomią łączy się jeszcze jedna książka, wydana w Wejmarze: studium historyczno-literackie Georga Kefersteina o Parsifalu (*Parsifals ethischer Weg*). W filozoficznej interpretacji tego badacza poemat Wolframa v. Eschenbacha poetycko ucieleśnia pogodzenie chrześcijaństwa i niemieckości w „człowieku gotyckim”. „W chrześcijańskim rycerstwie niemieckim jest możliwe i stanowi nawet obowiązek służyć Bogu i światu zarazem. Graal jest najwyższym symbolem niemieckiego chrześcijańskiego rycerskiego życia”.

Nie mniej charakterystyczną rozprawę ogłosił historyk Arno Deutelmöser (*Luther, Staat und Glaube*, wyd. E. Diederichsa w Jenie). Pragnie on udowodnić tezę, że Luther u kresu swej drogi całkowicie odeszedł od chrześcijaństwa i głosił apoteozę państwa imperialistycznego (*Machtstaat*). Wielka ilość cytów ma świadczyć o słuszności koncepcji, czyniącej z twórcy reformacji — współtwórcę niemieckiej idei państwa, rozwijającej się od „mistrza Eckeharta (mystyka z czasów średniowiecznych) poprzez Fryderyka Wielkiego do dzisiaj. Wywód ten — stwierdza referent — jest mocno naciągany i nie zgadza się z rzeczywistością. Idzie tu jednak oczywiście nie tyle o zgodność z rzeczywistością, ile o sens publicystyczny. A ten zwraca się przeciwko tendencji dwóch

pierwszych książek, głosi bowiem *pochwałę* nauki o predestynacji, pozytywne znaczenie zerwania z wolnością woli w budowie niemieckiej idei państwa.

Jeszcze jedna publikacja, innego charakteru; nie pseudo-naukowy wywód teologiczny lecz wyznania osobiste, głos uczucia: zbiór listów polemicznych Martina Hieronimi *Młody Niemiec wobec Boga* (*Junger Deutsche vor Gott*). Autor polemizuje żywo i gorąco z młodymi katolikami, protestantami i tzw. chrześcijanami niemieckimi, składa wyznania wiary nacjonalistycznej i rozprawia o mistycznym „byciu człowiekiem” (*Menschsein*) i „zbliżaniu się do Boga” (*Gottnähe*). W sumie: osobliwy, chaotyczny, manifest nieskoordynowanych porывów młodzieńczych.

W końcu dwa wydawnictwa pochodzące z obozu reformistycznie nastrojonych protestantów. Tu dyskusja toczy się przede wszystkim wokół problemu predestynacji; reformiści protestancyjscy poruszają na nowo zagadnienie wolności woli, nie mogąc się pogodzić z przekreśleniem jej. Przeciwko powadze teologicznej, Karlowi Barthowi, podniosły się ostatnio dwa głosy opozycji, Gogartena i Brunnera. Fr. Gogarten (w dziele *Gericht oder Skepsis*, wydanym u Diederichsa w Jenie) wytyka Barthowi i tradycyjnej teologii ewangelickiej doszczetne zagubienie idei odpowiedzialności etycznej; Brunner w szeroko zakrojonym dziele *Człowiek w sprzecznościach* (*Der Mensch im Widerspruch*) próbuje stworzyć w oparciu o dorobek nauki pierwszą nowoczesną antropologię chrześcijańską, gdzie metafizyczne przeciwieństwo bytu i woli znajduje pogodzenie i rozwiązanie w Bogu.

Tak przedstawia się w największym skrócie treść kilku wydanych w ostatnich miesiącach publikacji z dziedziny teologii. Ukazują one jasno, jak wielki chaos religijny zapanował w Niemczech. Przeciwników ortodoksyjnej chrześcijańskiej jest wielu, a wśród nich są zwolennicy niemieckich obok wyznawców Fichtego i Schellinga, wielbicieli gotyku i „naukowi” interpretatorzy Lutra w duchu aktualnych hasel politycznych, no a nade wszystko młodzi zapalenicy o żywych temperamentach a metnych umysłach. I — konkluduje referent — rozwiązanie tego kryzysu może nastąpić nie w oderwaniu od chrześcijaństwa lecz tylko w oparciu o zreformowaną teologię protestancką, a więc w każdym razie w oparciu o *grunt chrześcijański*.

## NOWA HISTORIOZOFIA

Niemcy mają z dawna zaszczerpioną skłonność do rozważań historyzoficznych, od sławnych prekursorów Herdera, Hegla biegnie nieprzerwaną koleją tradycja śmiałych syntez dziejowych, tłumaczących prawa rozwoju ludzkości. Ostatni z klasycznych historyzofów niemieckich, pisarz europejskiej sławy Oswald Spengler zmarł niedawno; ale na miejscu przez niego opuszczonym zjawiają się wciąż nowi pisarze i nowe dzieła.

Głównym tematem współczesnej historiozofii niemieckiej jest wiek XIX, przy czym obejmuje się tą nazwą okres szerszy czasowo, bo od wybuchu rewolucji francuskiej do przewrotu narodowo-socjalistycznego. (Podobne ramy zarysował i w podobny sposób ujął u nas wiek XIX prof. Zygmunt Lempiński). Ostatnio dużą książkę na ten temat wydał Hermann Ullmann (*Das neunzehnte Jahrhundert. Volk gegen Masse im Kampf um die Gestalt Europas* u E. Diederichsa w Jenie). Jak wskazuje tytuł autor widzi

„treść” zeszłego stulecia w walce narodu z masą o panowanie w Europie. Idea narodu przelamuje ideę państwa uniwersalnego, następnie zachwiewa się między liberalizmem i reakcją, między imperializmem państwowym i burżuazją, aż wreszcie po latach światowego kryzysu odnosi zwycięstwo nad anonimową masą demokratyczną.

Ciekawą postacią fachowego historyka o historiozoficznym zacięciu jest profesor uniwersytetu berlińskiego Kurt Breysig. Obszerny dorobek twórcy tego uczonego omawia szeroko w ostatnim numerze *Das Deutsche Wort* Alfred Otto Stolze. Breysig odnosi się z równą niechęcią do „apriorystów”, którzy narzucają swoje systemy dedukcyjne faktom historycznym, i do empiryków, którzy ograniczają się do opisywania tych faktów. Zajmuje on jak gdyby stanowisko pośrednie. Pragnie na podstawie gruntownego zbadania dokumentów ustalić pewne prawa dziejowe, powtarzające się w ewolucji wszystkich ludów i narodów ziemi. Odrzuca Hegla z jego ideą „samourzeczywistniania się ducha” jak i Marksa z teorią materializmu dziejowego; stosunkowo bliższe mu jest stanowisko naturalistyczne, choć zdaje sobie sprawę, że prawa rozwoju natury muszą być w pewnym stopniu odmienne od praw rozwoju człowieka. Dla historii narodów ustalił Breysig trzydzieści pięć t. zw. reguł wzrastania np. o powstawaniu państwa ze związków rodowych, o rozwoju ekonomicznym, rozwoju religii i t.p. Ponad tymi prawami pierwszego stopnia sformułował jeszcze autor *Vom geschichtlichen Werden* dziesięć zasad wyższego rzędu. Najważniejszą z nich stanowi zasada analogiczności procesu rozwojowego wszystkich narodów. Proces ten może nie dobiec do końca, zatrzymać się na jednym ze stadiów, ale porządek tych etapów jest zasadniczo niezmienny. Nie uznaje też Breysig spenglerowskiego poglądu o nieuchronnej rzekomej śmierci dojrzałych kultur; uderzającym przykładem, świadczącym przeciwko tej tezie utworzonej na modłę przyrodniczą — Chiny.

Szczególnie żywo zajmują Breysiga zagadnienia psychologii historycznej. Jedno z jego głównych dzieł nosi tytuł *Historia duszy* (*Geschichte der Seele*). Breysig przypisuje główną, rozstrzygającą rolę w dziejach jednostce i ustala jako zasadnicze prawo historyczne dwójsty stosunek jednostki do świata: mocne zaakcentowanie jaźni indywidualnej, osobowości, albo pęd do zupełnego rozplynięcia się w naturze lub w grupie społecznej. Jak podkreśla Stolze, prawo to zostało potwierdzone z innej strony przez psychologów współczesnych, Adlera, Junga i Kretschmera (typy introwertyczne i ekstrawertyczne, schizotypy i cyklotypy). Innym twierdzeniem historycznym Breysiga jest teza, że w dziejach ludzkości uwidoczniła się stały wzrost uświadomienia w działaniu. Ta systematyczna racjonalizacja wyraża się równocześnie stałym wzrostem sił rozumowych i uczuciowych i z drugiej strony słabnięciem woli i wyobraźni w człowieku.

Obecnie Breysig pracuje nad wielkim dziełem, w którym pragnie zawrzeć całość swego dorobku myślowego, — nad *Historią ludzkości*. Dotąd ukazał się pierwszy tom tej na gigantyczną miarę zakrojonej pracy, kreślący początki życia ludzkiego na ziemi (pt. *Die Anfänge der Menschheit*).

SEWERYN ROGOWSKI

TADEUSZ GRZEBIENIOWSKI

## IRLANDIA WSPÓŁCZESNA

POLITYKA  
KULTURA  
LITERATURA

WYDAWNICTWO „DROGI”

Skład Główny: Warszawa, Księgarnia TRZASKI, EVERTA i MICHALSKIEGO

## PION

należy abonować lub nabywać w kioskach i żądać go w czytelnictwach, cukierniach i restauracjach

Wszyscy zapewne znają propagatorską działalność pani Rosy Bailly, założycielki i sekretarki generalnej instytucji „Przyjaciele Polski”, z centralą w Paryżu i całą siecią ośrodków pokrywającą Francję. Nie dość znane natomiast są u nas jej poezje. Na jej dorobek poetycki składają się 3 tomy utworów wydane w następującej kolejności: *Montagnes Pyrenées*, 1934 (odznaczony nagrodą Académie des Lettres Pyrénaïques); *Alpes* 1935; *Gavarnie, ô merveille*, 1937. Poetka widzi góry poprzez własną duszę: natura i jej przeżycia wewnętrzne stapiają się w jedną przedziwną całość. Oto jak charakteryzuje te poezje Francis Jammes w swej przedmowie do *Alp*: „Pani Bailly rozwija przed nami łańcuchy przeżyć w długim, harmonijnym rytmie, w sposób niewyszukany, naturalny jak strumień, który płynie i nie troszczy się o sztukę doboriana rymów”; a o parę wierszy dalej: „Jej sztuka płynie ze źródła. Asonans czasem niedostrzegalny lub ledwie zaznaczony, rym zjawia się wedle kaprysu, a przecież ten wiersz brzmi równie bogato, jak wiersz Anny de Noailles, a czasem zbliża się płynnością do Jana de La Fontaine”. *Pireneje* są hymnem radości, którego moment kulminacyjny to wybuch szalonej burzy; *Alpy* są potwierdzeniem tezy, że „kraj obraz jest stanem duszy”, która tutaj z odmetów bólu wznosi się do wyżyn ekstazy, *Gavarnie* natomiast jest po prostu zwierciadłem, które odbija najpiękniejsze zakątki świata.

Przekłady *Pirenejów* dokonane przez Julię Wieleżyńską ukazywały się w *Bluszczu* i *Kamieniu*; co do *Alp*, to poemat *Dusza Góra* w moim przekładzie drukowany był w tatrzańskim numerze *Kamienia*, a poemat pt. *Dolina* w nrze 29 *Tygodnika Ilustrowanego* z r. bieżącego.

JADWIGA WAŻEWSKA

## Z PRASY

Ostatni numer *Niepodległości* (pod nową redakcją, którą objął Tadeusz Szpotaniński) poświęcony jest pamięci ś. p. min. Leona Wasilewskiego, założyciela i długoletniego redaktora *Niepodległości*. Na wstępie zeszytu znalazł się wybrany z pism pośmiertnych artykuł L. Wasilewskiego o Litewskiej Socjalnej Demokracji, jeszcze za życia przeznaczony dla *Niepodległości*. Obszerny szkic biograficzny L. Wasilewskiego pióra Wł. Pobóg-Malinowskiego otwiera właściwą treść zeszytu. Dobór artykułów i wspomnień pomyślany jest tak, żeby uwypuklić wszystkie charakterystyczniejsze rysy i momenty w życiu Zmarłego, który był nie tylko znanym znanym w kwestiach mniejszościowym badaczem, ale wybitną postacią polityczną obozu niepodległościowego. Naukowe zainteresowania L. Wasilewskiego szły w dwu kierunkach: w kierunku badań historycznych nad ruchem socjalistycznym w Polsce i badań spraw narodowościowych. Te zainteresowania omówili H. Wereszycki i J. Skrzypek, zaś o roli osobistej L. Wasilewskiego w P. P. S. napisał A. Próchnik. Jako organizatorowi badań nad najnowszą historią, poświęcił mu uwagę Wacław Lipiński w osobnym artykule, nawiązując w nim do osobistych wspomnień z kilkusetletniej współpracy z L. Wasilewskim.

Sprawa ostatniego kongresu PEN-klubu i skandalicznego wystąpienia antypolskiego p. Steinberga zajmuje nadal sporo miejsca na łamach prasy. Na ogół przeważa mniemanie, że odpowiedź delegata Polski, p. J. Perandowskiego, była niezbyt energiczna i zdecydowana; trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że ataki z powodu nieobecności A. Słonimskiego na tym posiedzeniu kongresu, na którym p. Steinberg swe prowokacyjne przemówienie wygłosił, są przesadne — tym bardziej, że ostatecznie nie ustalono dotychczas, czy p. Słonimski był delegatem oficjalnym, czy też otrzymał tylko jakąś bliżej nieokreśloną „delegaturę koleżeńską”. Solidaryzujemy się całkowicie z oceną obrad kongresu, wypowiedzianą na łamach *Pionu* przez p. Łaszowskiego; natomiast list p. Łaszowskiego, ogłoszony m. in. w *ABC* z dnia 6 sierpnia r. b., wydaje się nam nieproporcjonalnie agresywny w stosunku do udziału w inkryminowanej „sprawie” osoby p. Słonimskiego.

## Nowych klientów

pozyskuje na prowincji firma pomieszczająca ogłoszenia w dzienniku

## „Express Lubelski i Wołyński”

XV rok wydawnictwa  
Najwyższy nakład na terenie  
Województw Lubelskiego i Wołyńskiego

Bliższe informacje, egzemplarze okazowe, kosztorysy ogłoszeń — na każde żądanie.

Lublin, Kościuszki 8, tel. 23-60.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 12 — 14. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.  
Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Józef Czechowicz

WYDAWCA: Wilam Horzyca